Raymond Z. Gallun

Kosmiczna oaza

(Space Oasis)

Planet Stories, Fall 1942
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

I

Spotkałem Nicka Mavrocordatusa jak przeglądał tablicę ogłoszeniową w Biurze Dostawczym Haynesa na Asteroidzie Enterprize, gdy wróciłem tam właśnie spomiędzy rojów meteorów, z ładunkiem rudy.

Popatrzył na mnie, z tym swoim zabawnym grymasem warg, który można by z grubsza określić jako uśmiech i przywitał mnie:

— Cześć, Chet — tak obojętnie, jakbyśmy widzieli się nie dawniej niż dwadzieścia cztery godziny temu. — Strasznie dziwne przepisy mamy w tym Kodeksie Kosmicznym, co? Na przykład ten, który nakazuje publikowanie list ofiar. Można by pomyśleć, że Haynes Company chętnie nie wyciągałoby takich spraw na otwarty widok.

Chwilowo nic mu nie odpowiedziałem, ponieważ mój wzrok przebiegał wąskie, wypisane na maszynie kolumny tekstu na tablicy informacyjnej: Joe Tiffany – nie żyje – awaria skafandra kosmicznego… Hermann Schmidt i Lan Harool – zaginieni – w pobliżu Pallas… Irvin Davidson – hospitalizowany-ślepota kosmiczna…

Pod nagłówkiem ślepoty kosmicznej, umieszczonych było jeszcze ze dwadzieścia nazwisk ludzi, których nie znałem. Poniżej zaś, znajdował się znacznie dłuższy rządek zwykłych, urodzonych na Ziemi oraz Marsie Johnów i Henrych, z lakonicznym dopiskiem przy pierwszym od góry – hospitalizowany-umysłowe. Skrót oznaczenia „jak wyżej” oszczędzał konieczności powtarzania tego dopisku przy każdym kolejnym nazwisku.

Jedno z nazwisk przyciągnęło mój wzrok.

Było to nazwisko Teda Bradleya. Teda Bradleya z St. Louis, miasta rodzinnego mojego i Nicka Mavrocordatusa. To wywołało u mnie lekki skurcz, a potem skręt gdzieś pod jabłkiem Adama. Wiedziałem, w jakim stanie musiał być obecnie Bradley. Już nie był tym samym człowiekiem – utracił energię, pewność siebie. Rok tutaj, w kosmosie, między asteroidami, zmienił to wszystko na zawsze.

Przeskakiwanie z jednego dryfującego skrawka materii meteorowej na drugi, w malutkim statku kosmicznym. Opukiwanie tych ogromnych, szarych brył przy pomocy młotka testowego, który nie wydawał żadnego dźwięku w kosmicznej próżni. Pełzanie po ich skalistej powierzchni, w poszukiwaniu rud radu, tantalu i kiuru – materiałów na tyle drogich aby warto było je zbierać i wysyłać statkami do fabryk na Ziemi, pomimo bajecznie wysokich opłat przewozowych, na statkach rakietowych, których ładowność była taka mała, i gdzie każdy gram masy był dosłownie na wagę złota.

Nie, Ted Bradley już nigdy nie będzie sobą. Tak jak wielu innych. To była dobrze znana sprawa. Niemal zupełny brak siły ciążenia w przestrzeni między asteroidami, zaburzał pracę ośrodków nerwowych człowieka, zaś

promieniowanie kosmiczne z wolna przesączające się przez ołowiany hełm, stopniowo uszkadzało mu mózg.

Chodziło tu o coś więcej, niż tylko próżnię, brak ciążenia i promieniowanie kosmiczne. Dodać trzeba było jeszcze całkowitą ciszę, nieruchome gwiazdy i ciemność między nimi, czerń cieni, wbijających się jak diabelskie szpony w oślepiający blask słoneczny. Wszystko to razem wzięte, było silniejsze niż dusza jakiejkolwiek istoty żywej.

A na wierzchołku tego wszystkiego, znajdowała się zazwyczaj poniesiona porażka i zawiedzione nadzieje. Niewiele karier zostało zbudowanych między asteroidami, przez tych, którzy kopali w nich aby zarobić na życie. Ceny rzeczy przywożonych z Ziemi delikatnymi, kosztownymi statkami kosmicznymi były zbyt wysokie. Chwile wolności i towarzystwa były zbyt rzadkie, zaś ciężko zdobyte bogactwo przepływało między palcami jak woda.

Ted Bradley odszedł od nas. Można było nazwać go martwym, naprawdę. W szpitalu, tutaj na Enterprize, był albo szalejącym maniakiem, albo w przeciwnym przypadku – nie wiem czy nie gorszym – zmienił się w małe dziecko, mamroczące nad splecionymi palcami.

Przez chwilę mnie to trafiło. Ale potem wzruszyłem ramionami. Byłem tu w kosmosie już od dwóch lat. Stary wyjadacz. Wiedziałem jak buduje się imperia. Wiedziałem lepiej niż większość, jak współżyć z kosmosem. Trzeba zostać fatalistą i żyć chwilą. Nie przejmować się. Nie planować zbyt wiele. W ten sposób potrafiłem zachować właściwe proporcje. Miałem nawet całkiem sporo zabawy z bycia żądnym przygód ryzykantem, stawiającym czoła gigantycznej, budzącej grozę panoramie przestrzeni kosmicznej.

Nie uznałem swoich myśli na temat Teda Bradleya, za wartych wzmianki Nickowi Mavrocordatusowi. On pewnie też rozmyślał o Tedzie, i to wystarczyło.

— Chodźmy, Nick — powiedziałem. — W pomieszczeniach magazynowych poważyli już moją rudę i przeanalizowali jej zawartość. Idę do biura wypłat po swoją dolę. Potem możemy wypuścić się do Iridium Circle, czy jakiejś innej knajpy, i spędzić przyjemnie trochę czasu, co?

W odpowiedzi Nick zaśmiał się, dobrodusznie, tryumfalnie. Rzuciłem mu ostre spojrzenie, zauważając że pod jego nieco kwaśnym nastrojem zdawało się kryć coś naprawdę poważnego. Coś go na poważnie wzięło, mieszało mu w głowie, nurtowało go. Jego niewielkie, żylaste ciało, było pełne napięcia; ciemne oczy pod kręconymi czarnymi włosami, opadającymi na czoło, jaśniały zapatrzonym gdzieś w oddali spojrzeniem.

Oczywiście, ciągle był jeszcze bardzo młody – miał tylko dwadzieścia dwa lata, co u mnie, dwudziestopięciolatka, z o sześć miesięcy dłuższym niż jego półtoraroczne, asteroidowym doświadczeniem, powodowało że w porównaniu z nim, czułem się stary, pozbawiony złudzeń i do bólu praktyczny.

— W porządku, Chet — powiedział w końcu. — Chodźmy po tę twoją forsę. Świętowanie jest w porządku – przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Myślę jednak, że lepiej będzie jeśli je trochę skrócimy. Mam ci dużo do powiedzenia i jeszcze więcej do zrobienia.

Nie zwróciłem właściwej uwagi na jego słowa, przynajmniej wtedy. Pomaszerowałem do biura wypłat, gdzie paru stenografistów stukało na maszynach do pisania, i gdzie Norman Haynes pełniący obowiązki szefa Haynes Shipping Company, siedział za biurkiem pod portretem olejnym swego wuja, tego posiwiałego starego weterana Arta Haynesa, który parę lat temu przeszedł na emeryturę i teraz mieszkał na Ziemi.

Znałem starego Arta tylko z otaczającej go reputacji. Ale wystarczyła ona, by wzbudzić we mnie głęboki szacunek. Między bratankiem i jego wujem, była jednak różnica równie duża jak między dniem a nocą. Ten drugi, założyciel firmy, nie bał się ubrudzić rąk, stawić czoła śmierci i budował z myślą o przyszłości. Był twardy, tak, ale uczciwy i skłonny do wypłacania premii górnikom, nawet kiedy mozolił się nad rozwojem swojej firmy i otwarciem dla niej ogromnych nowych kosmicznych szlaków. Ten pierwszy był dyrektorem działającym z imponującego fotela, utrzymującym obecnie w mocnym uścisku asteroidowe imperium, pod względem prawnym niepodlegające jego kontroli, ale którego wszystkie zasoby wpadały ostatecznie w jego ręce kosztem innych, ponieważ to on kontrolował wrażliwe, trudne linie zaopatrzeniowe.

Na mój widok, Norman Haynes podniósł się ze swego fotela. Był bardzo wysoki i nosił nieskazitelny garnitur biznesowy. Był gładko ogolony, miał elegancką fryzurę, w przeciwieństwie do moich kudłatych loków i grzywy. Na jego twarzy widniał uśmiech powitalny, równie szeroki, jak fałszywy.

— Proszę… Chet Wallace — oznajmił. — Pański ostatni lot był przykładem doskonałego górnictwa meteorowego. Ruda radowo-aktynowa wartości tysiąca dziewięciuset dolarów! Wspaniale! A następnym razem będzie może nawet jeszcze lepiej!

Taaaa! Już nieraz widziałem i słyszałem Normana Haynesa zachowującego się i mówiącego w ten sposób. Stosował mniej więcej to samo podejście do wszystkich górników. We mnie budziło to wieczną irytację. Zawsze miałem ochotę podejść i wykręcić mu ten długi nos do tyłu, zakładając go za prawe ucho. Zarówno on jak i jego słowa, sprawiały wrażenie sztucznych i fałszywych. Zawsze używał łaskawego tonu. A ja czułem, że był zwykłym krwiopijcą. Dzisiaj, mój gniew był wyjątkowo silny, z powodu Teda Bradleya.

Zdaje się, że w odpowiedzi zadrwiłem z niego:

— Proszę się tak nie przejmować tym tysiącem dziewięciuset dolarami, panie Haynes — stwierdziłem. — Kiedy kupię żarcie, parę potrzebnych mi rzeczy, i trochę poszaleję, te pieniądze wrócą do pana.

Obok balustrady biurowej stała maszyna – automat sprzedający papierosy. Wsunąłem dwa pięciodolarowe banknoty ze swojej wypłaty, do otworu na pieniądze, na górze urządzenia. Rozległ się delikatny szum, kiedy zrobotyzowany czujnik automatu sprawdził oznaczenia nominałów i potwierdził autentyczność banknotów. Dwie paczki papierosów ześlizgnęły się, spadając do pojemnika odbiorczego.

— Pięć dolców za paczkę, Haynes — stwierdziłem. — Przy uczciwych stawkach przewozowych, przywożone z Ziemi papierosy nie są warte wiele więcej, niż trzy dolce. Ale ty jesteś śmierdzącym oszustem, którego nie zadowalają uczciwe zyski. Koszty tutaj, w asteroidach i tak są cholernie słone; ale ty pogarszasz jeszcze tę fatalną sytuację, żądając co najmniej dwadzieścia pięć procent więcej, niż jest to rozsądne! Wenusjańska cuchnąca-wesz ma w sobie więcej z dżentelmena, niż ty, Haynes!

Och naprawdę, dźwięk tych słów w gardle oraz widok twarzy Haynesa z zaskoczenia i furii zmieniającej kolor najpierw na jaskrawą czerwień, a następnie trupią bladość, sprawiły mi wręcz szatańską satysfakcję. Paru innych górników, którzy właśnie weszli do biura wypłat, ukryło swe szerokie uśmiechy czystej przyjemności pod spracowanymi dłońmi.

W pierwszej chwili, myślałem, że Norman Haynes rzuci się na mnie. Ale nie zrobił tego. Brakowało mu do tego ikry. Zaczął pluć się i kląć pod nosem, tak że aż przywodziło mi to na myśl syczenie węża. Czułem jednak w tym groźbę – groźbę spisków i planów człowieka, który nie staje do otwartej walki, ale czeka na swą szansę do zadania uderzenia znienacka. Wiedząc, że tak jest naprawdę, dym z czupryny Haynesa sprawił mi wielką przyjemność.

Obojętnie rzuciłem jedną z paczek papierosów Nickowi Mavrocordatusowi, który przyszedł ze mną do biura wypłat. Szturchnął mnie łokciem, co miało oznaczać, że lepiej się stamtąd wynosić. Kiedy wyszliśmy z budynku, powstrzymał mnie od pójścia do jednej z paru krzykliwych tandetnych knajp, znajdujących się pod niewielką przeszkloną kopułą Enterprize City, jedynego kiepskiego okruchu cywilizacji i namiastki komfortu.

— Żadnego picia, Chet — szepnął mi Nick. — Nie mogę sobie pozwolić na to ryzyko. Muszę chodzić na paluszkach. W pewnym sensie cieszę się, że tak mu przygadałeś – niezależnie od tego, co chciałeś przez to osiągnąć. Ale narobiłeś nam najgorszych możliwych wrogów jak na tę chwilę.

Wzruszyłem ramionami.

— O czym chciałeś wcześniej ze mną rozmawiać, Nick? — zacząłem się dopytywać. — Jak rozumiem, masz coś naprawdę dużego, na widoku.

Odpowiedział mi, mówiąc tak szybko, że początkowo nie do końca chciałem wierzyć swym uszom.

— Tata, siostra, Geedeh i ja, mieliśmy naprawdę szczęście, Chet — oznajmił. — Znaleźliśmy na planetoidzie 439… nie jakieś tam ochłapy, ale prawdziwą fortunę w rudzie. Złoże jest takie duże, że moglibyśmy kupić swoje maszyny do przetapiania i oczyszczania surowca, oraz wynająć statki pod naszą własną kontrolą, żeby zabrać oczyszczone metale na Ziemię!

— Chyba żartujesz, Nick — powiedziałem ze zdumieniem.

— Ani troszeczkę — odparł.

Po tych słowach uścisnąłem mu rękę, gratulując sukcesu. Naprawdę duże szczęście, było rzadkim zjawiskiem między asteroidami. To że spośród tych tysięcy poszukiwaczy, w dziesiątkę strzeli akurat któryś z moich przyjaciół, wydawało się wręcz niemożliwe.

— No to, pewnie wkrótce wszyscy nas opuścicie — powiedziałem do niego. — Wrócicie na Ziemię i rozpoczniecie życie milionerów. Cieszę się za was wszystkich, mały. Twój tata, będzie mógł hodować kwiaty i winogrona, zamiast uruchamiać ponownie biznes z uprawą warzyw. Twoja siostra, Irene, będzie mogła zająć się studiowaniem malarstwa i muzyki, jak zawsze to chciała.

Każdy chyba zrozumie kierunek w jakim powędrowały w tej chwili moje myśli. Kiedy człowiek wyrusza między planetoidy, ma w głowie przede wszystkim: wzbogacić się i wrócić na Ziemię.

Nick westchnął ciężko, idąc u mego boku. Ten jego zabawny uśmiech znowu pojawił mu się na ustach. Rozejrzał się dokoła, na jego młodej twarzy widać było szmaragdowy odblask świateł lamp.

Potem powiedział:

— Nie wydaje mi się, żeby dalsza rozmowa tutaj, była zupełnie bezpieczna. Lepiej chodźmy na naszą starą łajbę, *Korfu*.

Korfu była na stanowisku startowym na zewnątrz kopuły. Żeby się na nią dostać, musieliśmy założyć skafandry. W środku, stara łajba cuchnęła kuchennymi zapaszkami, niektóre z nich pewnie gromadziły się tu przez te osiemnaście miesięcy, w czasie których Mavrocordatus kopał na asteroidach. Stare statki są trudne do wentylacji, przy ich niedoskonałych oczyszczaczach powietrza.

Przyrządy w sterówce były poobijane i połatane; zaś z kabin mieszkalnych na rufie dolatywały odgłosy duetu chrapiących – jednego gardłowo, drugiego grzechotliwie. Bez wątpienia, tata Mavrocordatus; zaś drugie przerywane syczenie, pochodziło niewątpliwie z filtrujących pyły włosów w krtani Geedeha, małego uczonego marsjańskiego, z którym Nick się zaprzyjaźnił.

— Nie mogę cię zrozumieć, Nick — oznajmiłem. — Być bogatym i nie wynosić się z kosmosu, tej piekielnej dziury. Jesteś idiotą.

— I tu cię mam, Chet — odparł porozumiewawczo. — Na moim miejscu, ty też byś nie wrócił – a przynajmniej nie bez żalu. Pomimo tego, że to piekło, tu w kosmosie jest coś wspaniałego, co złapało cię za serce. Człowiek czuje się tutaj nicością. Ale z drugiej strony czuje się tu częścią czegoś strasznie wielkiego i strasznie ważnego. Na Ziemi byłbyś szczęśliwy przez tydzień; potem zacząłbyś się dusić od środka. Planetoidy stały się twoim domem, Chet. Już za późno, na zerwanie tych więzów.

Z wolna zaczęło przebijać się w mym umyśle, że Nick miał rację.

— Nie to, żebym chciał powiedzieć coś złego przeciwko starej Mateczce Ziemi — mówił dalej. — Jestem jak najdalszy od tego! Tego właśnie tutaj nam najbardziej brakuje – małej namiastki naszej rodzimej scenerii. Żeby coś rosło. Może jeszcze skrawka niebieskiego nieba. Dostatecznie dużego ciążenia, żeby człowiek mógł uwierzyć, że ma stały grunt pod nogami.

W tym momencie zacząłem czuć plan Nicka, nie tylko na czym on polegał, lecz także całą tę jego niepraktyczną część marzyciela.

Zacząłem szczerzyć się w uśmiechu, ale w moim sercu również pojawił się cień smutku.

— Pewnie! Pewnie, Nick! — zacząłem go napominać. — Przecież ten pomysł jest równie stary jak świat! Odnowić którąś z asteroid. Sprowadzić na nią glebę, wodę i powietrze z Ziemi. Zainstalować wielką jednostkę generatora grawitacyjnego. Ha! Czy wiesz ilu statków by trzeba, żeby przywieźć w kosmos, te tysiące tysięcy ton materiałów? Nawet tylko tak, na początek?

Mówiłem głośno. Mój głos huczał w pordzewiałym kadłubie Korfu, wzbudzając dźwięczące echa. Tak więc niemal dokładnie w chwili kiedy skończyłem, wszyscy zebrali się wokół mnie. Tata Mavrocordatus w piżamie i obszarpanym szlafroku, ze swymi krzaczastymi najeżonymi wąsiskami. Geedeh, niewielki Marsjanin, otulony w kraciasty ziemski koc, jego duże oczy mrugały, a małe palce zakończone zamiast paznokci mięsistymi gałkami, przebierały nerwowo w okolicy środka jego dużej, wypukłej klatki piersiowej. No i Irene, sztywno wyprostowana i wyzywająca, ubrana w niebieską bluzę roboczą.

Irene nie spała. Pewnie zmywała naczynia i porządkowała kuchnię po kolacji. Ciągle trzymała w rękach ścierkę do wycierania. Bogactwo nie zmieniło więc jeszcze sposobu życia Mavrocordatusów. Irene wyglądała jak dzielna mała laleczka dla dzieci, z ciemną grzywą potarganych, kręconych włosów, nie sięgając mi nawet do ramienia. Była niesamowicie ładna, ale teraz jakoś wyglądała na mocno poirytowaną.

Pokiwała na mnie palcem, z gniewem.

— Myślisz, że Nick wpadł na głupi pomysł, co, Chetcie Wallace? — zawołała oskarżycielsko. — Tylko dlatego, że nie wiesz o czym mówisz! Nie musimy przywozić z Ziemi nawet kropli wody, ziarnka gleby czy też cząsteczki powietrza! Zapytaj Geedeha!

Odwróciłem się do małego Marsjanina. Ciemne źrenice i żółte tęczówki jego ogromnych oczu, zmierzyły mnie wzrokiem.

— Irene mówiła prawdę, Chet — wyjaśnił mi swym powolnym, mozolnie wystudiowanym angielskim. — W Pasie Asteroid wiele setek tworzących go odłamków stanowi pozostałości planety, która została rozsadzona. Na znacznej liczbie asteroid jest więc gleba. Bardzo wysuszona – tak – po tym jak większość wody i powietrza uleciała w kosmos, na skutek katastrofy. Ale ta gleba ciągle może być użyteczna. Jest tu także i woda, nie w wolnej, płynnej formie, ale w związkach występujących warstwach starych skał; szczególnie w gipsie. To tak jak na Marsie, kiedy atmosfera zaczęła robić się dla nas zbyt rzadka do oddychania, a woda na pylistych pustyniach stała się ogromną rzadkością.

Nic nie powiedziałem, żałując że wcześniej nie trzymałem języka za zębami.

— Wypalaliśmy gips w piecach atomowych — dokończył Geedeh, — wydobywając z niego wodę w formie pary i odzyskując ją dla naszych podziemnych miast. To samo można zrobić tutaj, na planetoidach. A ponieważ woda, to tlenek wodoru, można z niej także uzyskać tlen, drogą elektrolizy. Azot i dwutlenek węgla, niezbędne do uzupełnienia składu atmosfery, która będzie powstrzymywana przed ucieczką w kosmos przez siły sztucznej grawitacji, mogą zostać otrzymane z azotanów i innych związków chemicznych. Tylko najważniejsze elementy naszego parku maszynowego muszą zostać wyniesione z Ziemi i Marsa przy pomocy rakiet. Resztę można zbudować tutaj, z miejscowych materiałów.

Głos mówiącego do mnie Geedeha, brzmiał jak delikatny, syczący szept, jak szmer czerwonego pyłu na zimnym, rzadkim marsjańskim wietrze.

— Mogę się założyć — entuzjazmował się tata Mavrocordatus, — że Nick miał doskonały pomysł. Będę hodował moje kwiaty! Będę uprawiał pomidory, kapustę i marchew, i to tutaj, na jednej z tych asteroid!

Wydało mi się to zabawne – asteroidy i kapusta! Nie byłbym w stanie wymyślić niczego, co byłoby bardziej odległe od siebie. Czarna, pozbawiona powietrza próżnia kosmosu, postrzępione skały i surowe, kosmiczne promieniowanie słoneczne! I rzeczy rodem z ogródka warzywnego! To do siebie nie pasowało. Ale przecież, tata Mavrocordatus również nie pasował do asteroid! Miał kiedyś farmę warzywną, w okolicach St. Louis. A teraz był tutaj, w kosmosie, i to był już od półtora roku!

No cóż, nawet jeśli ta idea była możliwa do wykonania, najpierw pomyślałem sobie, że oni ciągle są tylko marzycielami – oszukującymi siebie samych, że jej realizacja, będzie betką. I niezdolnymi do wywalczenia sobie osiągnięcia swoich celów.

Potem jednak, popatrzyłem ponownie na Nicka. Ten wyraz jego twarzy, znowu był na niej widoczny. Ta dziwna mieszanina pewności siebie, zatroskania, surowości i wizji. I dotarło do mnie, że nie było w tym ani odrobiny samooszukiwania.

— **C**hcecie, żebym wam pomógł przy tej robocie? — spytałem z nadzieją.

— No pewnie! — odparł Nick. — Nie powiedzielibyśmy ci tego wszystkiego, gdybyśmy nie chcieli żebyś wszedł w to razem z nami. To dlatego wróciliśmy na Enetrprize – mieliśmy nadzieję, że będziesz kręcił się tu gdzieś w pobliżu.

Tak więc, wszedłem w to. Stałem się częścią szalonego planu postępu – tym bardziej ekscytującego i inspirującego, że był taki szalony. Asteroida zmieniona w małą, sztuczną Ziemię! Dobrodziejstwo dla znużonych kosmosem ludzi! Źródło tanich zapasów żywności, jak również miejsce do odpoczynku. Nowy etap kolonizacji – budowa imperium!

W tym momencie wydało mi się, że usłyszałem jakiś dźwięk – leciutkie brzęknięcie na zewnątrz kadłuba *Korfu*. Natychmiast poczułem niepokój – napięcie. Być może moje zaniepokojenie w połowie powodowane było

przez intuicję albo przez jakąś formę telepatii. Kiedy człowiek znajdzie się tam, w głębi kosmosu, z dala od jakiejkolwiek innej żywej istoty, czuje wręcz tę ogromną pustkę samotności, która powodowana jest może przez nieobecność ludzkich fal telepatycznych, pochodzących z innych umysłów. A gdy znajdzie się on ponownie w otoczeniu innych ludzi, jego szósty zmysł zdaje się być wyostrzony przez ten okres braku kontaktu z nimi. Dlatego właśnie, byłem pewien pojawienia się podsłuchiwacza, czułem wyraźnie jego obecność. Przy użyciu odpowiedniego sprzętu sub-mikrofonowego, ktoś na zewnątrz statku kosmicznego jest w stanie usłyszeć każde słowo, wypowiedziane w środku.

Nick również to wyczuł.

— Lepiej chodźmy i sprawdźmy — wyszeptał. — Norman Haynes utrzymuje w okolicy całą siatkę szpiegów. I może doszły do niego jakieś pogłoski. Takiego projektu jak nasz, nie da się długo utrzymać w tajemnicy. To zbyt duża sprawa.

Puls mi podskoczył ze niepokoju, kiedy wciskałem się w swój skafander kosmiczny. Ale gdy Nick i ja przeszliśmy przez śluzę powietrzną, w zasięgu wzroku nie było widać nikogo. I tylko kilka śladów stóp w cieniutkiej warstwie pyłu wzbijanego przez silniki rakietowe, który pokrył ślady pozostawione przez nas w czasie kiedy szliśmy na statek, zmierzało w stronę *Korfu*. Nasze latarki pokazywały je wyraźnie.

— Rewitalizacja asteroidy w tych stronach, produkowanie na niej świeżej żywności, i tak dalej, odebrałoby Haynes Shipping Company całkiem sporą część przewozów, nieprawdaż? — powiedziałem, kiedy znaleźliśmy się z powrotem w kabinie. — Norman Haynes przestałby być praktycznym szefem wszystkich planetoid, co nie? Nie spodobałoby mu się to. Będzie z nami walczył.

— Potrzebujemy twojej pomocy, Chet — poprosiła Irene, patrząc na mnie błagalnym wzrokiem. To mi wystarczyło.

— Lepiej jak najszybciej stąd startujmy — dodał Nick. — Lecimy na asteroidę 487, Chet. Jej nowa nazwa, to Paradise. To ją właśnie wybraliśmy.

II

Asteroida 487 wyglądała na zupełnie zwyczajną. Obszarpany, pozbawiony powietrza, najeżony skałami okruch w kosmosie. Jak na razie nie był to jeszcze raj, chyba że chodziło o raj dla diabła. Nick zatrudnił tysiące ludzi – dokerów z portów kosmicznych i techników, w większości świeżo przybyłych z Ziemi. Pewnie, że trudno jest rządzić taką zgrają, ale w problemach z tym związanych nie było niczego, czego byśmy już wcześniej nie poznali, jako części składowej naszej pracy. Niektórzy z tej grupy wybuchali na nasze propozycje końskim śmiechem, ale pracowali. Płaca była dobra.

Przybywały kolejne statki z ładunkami zapakowanych maszyn. Kuźnie atomowe płonęły ogniem, oczyszczając miejscowe żelazo meteorytowe, potrzebne do budowy potężnej maszynerii do generowania grawitacji, zatopionej w szybie, w punkcie środkowym planetoidy, dziesięć mil w dole. Większością prac kierował Geedeh. Nick i ja pilnowaliśmy wykonania poleceń, przeklinaliśmy i denerwowaliśmy się, wygłaszaliśmy bardzo inspirujące, z zamierzenia, mowy.

I wtedy zaczęły się kłopoty.

Rakieta przewożąca żywność i pieniądze na pensje dla naszych ludzi, eksplodowała w kosmosie, podchodząc w pobliże planetoidy. Rozbłysk eksplozji był oślepiający i przerażający, powodując, że nawet jasne gwiazdy na chwilę zdawały się zniknąć. Wybuchło paliwo atomowe rakiety. Kawałki stopionego metalu spadły jak deszcz na powierzchnię gruntu, wyglądając jak prawdziwe meteory, rozgrzane do czerwoności w jeszcze nie istniejącej atmosferze.

To mógł być wypadek. Tytaniczną energię atomową nie zawsze da się do końca kontrolować, a statki kosmiczne dosyć często rozlatują się na kawałki. Ale już wtedy nabrałem podejrzeń, że być może nie była to jednak sprawa przypadku.

Nick i ja byliśmy właśnie na otwartej przestrzeni i widzieliśmy jak to się stało. Właśnie przyszedł z uszczelnionych baraków, które zbudowaliśmy. Jego twarz za kryształem hełmu tlenowego nawet nie zmieniła wyrazu – tylko odrobinę spoważniała. Podczas gdy płonące resztki rakiety ciągle spadały w strzępkach i odłamkach, powiedział, głosem brzęczącym w moich słuchawkach odbiorczych:

— Taaa, Chet… Są też problemy na asteroidzie 439, na której umiejscowione są nasze kopalnie. Właśnie odebrałem wiadomość radiową, kiedy byłem w biurze. Sabotaż, i zginęło paru ludzi. Zdaje się, że niektórzy z robotników, próbują sprawiać nam kłopoty. Harley jest tam szefem. Myślę, że da sobie z tym radę – na razie.

— Nan nadzieję — oparłem gorączkowo. — Jeśli tylko sprawy dalej potoczą się we właściwym kierunku. Po zniszczeniu tego statku, przez tydzień będziemy na zmniejszonych racjach. Straciliśmy też pewne ważne maszyny. Pieniądze na wypłaty były ubezpieczone, ale ludziom nie spodoba się opóźnienie.

Nie spodziewałem się jednak specjalnych kłopotów ze strony pracowników – jeszcze nie. To Irene tak naprawdę najbardziej w tym pomogła – opanowała sytuację. Od początku prowadzonych prac, przejęła zarządzanie kuchniami.

Teraz jednak wzięła na siebie dodatkowe zadania. Porozmawiała z najbardziej niepokornymi ludźmi z naszej ekipy.

— Zwyciężymy, chłopaki! — powiedziała im. — Wiecie przecież, co tutaj budujemy. Nasza praca ma na celu dobro wszystkich – zarówno nas, jak i wielu ludzi, którzy przylecą tu w przyszłości!

Prosta, jasna, inspirująca przemowa. Zabawne, co mężczyźni są w stanie zrobić dla ładnej dziewczyny – choćby nawet całe piekło było przeciwko nim. Ale to jeszcze nie wszystko. Namalowała kilka obrazów, które powiesiła w naszym pomieszczeniu rekreacyjnym, i które

pokazywały czym może stać się asteroida 487, kiedy skończymy prowadzone na niej prace.

Ludzie pracujący w kosmosie, to najtwardszy rodzaj poszukiwaczy przygód, jacy kiedykolwiek żyli. Ale poszukiwacze przygód, zawsze są optymistami, sentymentalnymi romantykami, niezależnie od tego, jak trudny jest otaczający ich świat. Zaś pracownicy kosmiczni, z samej natury przerażającego środowiska, w którym żyją, charakteryzują się jeszcze tym, że wierzą w cuda.

Zaczęli cieszyć się tą myślą – większość tych twardych ludzi. Ja również się cieszyłem. Ale cud jeszcze się nie wydarzył i gdzieś w głębi duszy zawsze prześladowała mnie obawa, że może on nigdy się nie wydarzyć. Te skały nadal były ponurym pustkowiem zalanym światłem gwiazd. Przesiąkniętym śmiercią, bardziej niż jakikolwiek grobowiec! Nie było niemożliwe do pomyślenia – technicznie – aby to wszystko zmienić. Tym niemniej może to jednak okazać się niemożliwe do wykonania – z powodu Normana Hayesa! Był jedynym człowiekiem, który miał siłę i powody do tego, aby zastopować wszystko, co próbowaliśmy tutaj zrobić.

Sabotaż i zabójstwa, musiały być inspirowane przez niego – także część naszych ludzi musiała być na jego garnuszku. Całkiem możliwe, że rakieta, która eksplodowała, została potajemnie zaminowana, również na jego polecenie, przy użyciu materiałów wybuchowych.

Jednak z niczym innym tak trudno się nie walczy, jak z takimi skrytymi metodami. Nie mieliśmy żadnych dowodów jego winy, ani żadnych bezpośrednich środków, umożliwiających ich zdobycie. Jedyne co można było zrobić, to kontynuować dalsze prace. Geedeh i reszta z nas pracowała z nadzieją na poprawę sytuacji. Jeden z fragmentów asteroidy 487, stanowił część powierzchni pradawnej planety, która kiedyś się rozpadła. Z tego miejsca zebraliśmy wysuszoną glebę i rozrzuciliśmy ją po całej skalistej powierzchni planetoidy, rozwożąc ją ciężarówkami atomowymi. Kolejne transporty ziemi zostały sprowadzone z innych asteroid. Zbudowane zostały wielkie piece do prażenia skał. Wypalaliśmy w nich gipsy, uwalniając zawartą w nich wodę, w postaci ogromnych chmur pary, którym przy pomocy sztucznej grawitacji uniemożliwialiśmy ucieczkę w kosmos. Część wody, w wyniku elektrolizy, dawała nam tlen. Azot otrzymywaliśmy z azotanów.

Nasza maszyna do wytwarzania ciążenia, czasami wymagała poprawek. Tysiące części z których była zbudowana, w znacznym zakresie miały charakter elektryczny. Wielkie uzwojenia konwertowały siły magnetyczne na grawitacyjne.

Kolejny statek dotarł do nas bez problemów, przywożąc nam nasiona roślin i żywność. Następny już nie. Wybuchnął w kosmosie, sekundę przed wylotem. Potem ktoś próbował dopaść Marsjanina Geedeha, przy pomocy miotacza promieni cieplnych. Kolejny statek z żywnością również nie zdołał dotrzeć na miejsce.

Wtedy w odwiedziny do nas przyleciał Norman Haynes. Wylądował, zanim mieliśmy szansę odmówić jego przyjęcia. Miał ze sobą ochronę złożoną z dwunastu ludzi. Był naszym wrogiem, ale nie potrafiliśmy tego udowodnić. Zdawał się zapomnieć o niewielkim zgrzycie jaki miał miejsce między nim a mną, w jego biurze.

— Wallace i Mavrocordatus! Realizujecie, panowie, wspaniałe przedsięwzięcie! — powiedział do Nicka i mnie, idealnie wymawiając jego nazwisko. Brzmiał bardzo podobnie do swojego zwykłego „ja”. — Oczywiście, taki projekt skazany jest na trudności. Kłopoty z pracownikami, i tak dalej. Trudno przekonać ludzi, żeby uwierzyli w tak fantastyczne przedsięwzięcie, jak panów. Początkowo, sam również nie za bardzo w nie wierzyłem. Ale fakty są niezaprzeczalne, teraz kiedy położyliście już podstawy dla niego. Panowie, będziecie potrzebowali pomocy. Mogę jej panom udzielić.

Uśmiechał się, ale w jego uśmiechu dostrzegałem wyraźnie chytrość i poczucie wyższości, z czego sam prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy. Czułem jak wewnątrz mnie narasta wściekłość. Próbował przejąć kontrolę nad naszym projektem, teraz kiedy z pewnością uznał, że do czegoś mu się on może przydać. Bał się konkurencji, ale gdyby miał nad nami kontrolę, mógłby wymusić na nas wysokie ceny, jak u niego, utrzymać swoje imperium, i powiększyć majątek o kolejne miliony dolarów. Jego brudna krecia robota musiała stanowić częściowo próbę zmuszenia nas do tego siłą.

— Dziękujemy — spokojnie odrzekł mu Nick. — Ale raczej wolimy zrobić wszystko naszymi własnymi siłami.

Nasz gość wzruszył ramionami, stojąc w wejściu do swojej szalupy kosmicznej.

— W porządku — gładko oznajmił. — Skontaktujcie się panowie ze mną, jeśli uznacie, że do czegoś jestem wam potrzebny.

Kilka godzin później, z ziemi dotarł do nas radiogram.

„Gratulacje!” — brzmiał. — „Trzymajcie się swego. Lubię ludzi z wyobraźnią. Być może wkrótce sam wrócę do zaprzęgu. Art Haynes.”

— **P**rawdopodobnie jest po prostu sarkastyczny — stwierdziłem z goryczą.

— Stary diabeł — warknął tata Mavrocordatus.

Zaledwie trzydzieści minut po otrzymaniu tej wiadomości, zostało zabitych dwóch ludzi. Zrobił to mały facet, o szczupłej twarzy, o nazwisku Sparr. Ale udało mu się uciec łodzią kosmiczną, zanim zdołaliśmy go złapać. Płatny zabójca i mąciciel.

Ten incydent wprawił naszych ludzi w większą nerwowość, niż poprzednie. Pół tuzina nowoprzybyłych – mechaników z Ziemi – gwałtownie zrezygnowało z pracy. Nasze zapasy żywności były niemal na wyczerpaniu. Odebraliśmy następny statek z ładunkiem, ale narastający niepokój nie opadał, chociaż udało nam się przetrzymać kolejny miesiąc. Podobne problemy występowały na 439, skąd pochodziły pieniądze

Mavrocordatusów. Ale być może, pomimo tego uda nam się jednak osiągnąć zamierzone cele.

Uzyskaliśmy już na Asteroidzie Paradise całkiem gęstą atmosferę. Czarne niebo zmieniło się w niebieskie. Ziemia była wilgotna od wody. Zaczęły wyrastać ziemskie budynki. Tata Mavrocordatus posadził już nasiona niewielkich drzew i innych roślin. Była to zwodnicza chwila sukcesu, zanim spadł prawdziwy cios.

Pewnego wieczora po zachodzie słońca, usłyszałem strzały. Wyskoczyłem biegiem z baraków. Geedeh, Irene i tata Mavrocordatus, podążali za mną. Wszyscy mieliśmy ze sobą pistolety energetyczne.

Znaleźliśmy Nicka w wąwozie, z na wpół przepalonym ciałem tuż ponad prawym biodrem. Ale ciągle żył. W jednej dłoni miał pistolet energetyczny. Przed nim, na skałach i na ziemi, leżało dwóch martwych ludzi. Za nim, błyszcząc w promieniach naszych latarek, widać było jakiś aluminiowy cylinder.

— Chet, to jest pojemnik na kultury bakterii — wyszeptał Nick. — Złapali mnie i trochę się przechwalali, zanim zaskoczyłem ich szybkim ruchem i złapałem za jeden z ich pistoletów energetycznych. To zarazki Wenusjańskiej Czarnej Zgnilizny. Mieli zamiar wrzucić je do zbiornika z zapasami wody pitnej. Wspomnieli o… Haynesie…

Nick nie zdołał powiedzieć już niczego więcej. Ale uratował nam życie. Ten bohater postępu umarł tam, w moich ramionach, lekki wietrzyk w nowej atmosferze, którą pomógł stworzyć, wzburzył jego falujące włosy. Zginął za swe marzenia o pięknie i lepszym życiu.

Biedna, mała Irene nie mogła nawet płakać. Twarz jej zrobiła się biała i aż zaniemówiła. Jej tatą wstrząsały ogromne łkania i nieustannie wyrzucał z siebie kolejne groźby. Powiedziałem mu, żeby się zamknął. Geedeh przeklinał w swym własnym języku, głosem brzmiącym jak przyciszony, śmiertelnie groźny syk, zaś małe dłonie zaciskały mu się i otwierały.

— Szkoda, że Nick pozabijał tych ludzi — warknąłem. — Moglibyśmy zmusić ich do gadania. Mielibyśmy wówczas dowody. Normanem Haynesem zajęłoby się prawo!

— Ale nie mamy niczego! — zaszlochał tata Mavrocordatus. — Niczego!

Twarz Geedeha wykręciła się w marsjańskim wyrazie nienawiści. Irene wpatrywała się niewidzącym wzrokiem, tak jakby znajdowała się gdzieś bardzo daleko. Próbowałem otoczyć ją ramieniem, żeby ściągnąć ją z powrotem do nas. Minęła minuta, zanim zaczęła zdawać sobie sprawę, w ogóle że tam byłem.

— Irene — powiedziałem, — kocham cię. Wszyscy cię kochamy. Weź się w garść, dzieciaku. Nie możemy się teraz poddać – nigdy! Nie wolno nam zawieść Nicka.

Skinęła tylko głową. Nie była w stanie mówić.

Parę godzin później, spotkałem się w naszym biurze z robotnikami. Większość z nich próbowała zachować się w tej sytuacji uczciwie:

— Chętnie byśmy wytrwali do końca, Wallace. Ale jak mamy to zrobić? Nie mamy nic do jedzenia…

Mniej więcej tak mówiła większość z nich, w ten czy w inny sposób.

I co im miałem odpowiedzieć?

Oczywiście, niektórzy z nich oznajmili mi to bez żalu. A niektórzy zachowali się naprawdę paskudnie. Może czuli już odrobinę szaleństwa wywołanego pobytem w kosmosie, albo podburzyła ich propaganda, którą rozsiewali wśród nich tajni agenci na usługach Haynesa.

— W każdym razie, dlaczego mielibyśmy dalej dla ciebie pracować? — warczeli. — Nawet za dobre pieniądze, których większości z nas nie wypłacono? Pewnie jesteś taki jak inni. Masz zamiar wysłać nas gdzieś tutaj, w jakieś inne miejsce, żeby okantować nas na koniec, żądając za wszystko niebotycznych cen. Twój „Paradise" to zwykła fantasmagoria, i to wszystko.

A więc, odwrócili się od nas i rozpoczął się exodus. Statki transportowe startowały jeden po drugim, pełne ludzi. Nie mogliśmy ich zatrzymać. I wkrótce wszędzie dokoła zapadła cisza. Zostaliśmy sami, żeby pogrzebać Nicka. Małe Słońce jasno świeciło nad ostrymi wierzchołkami, których gołe szare skały rozmywały się niebieskawo w nowej atmosferze. Dokoła panowało wilgotne ciepło lata.

Wtedy już nie czułem nawet specjalnego gniewu, w czarnej rozpaczy porażki. Norman Haynes wygrywał, jak do tej pory. Jaki będzie jego następny krok, który ostatecznie dopełni naszej klęski?

Spędziłem trochę czasu w biurze, przeglądając nasze księgi. Wkrótce z baraków przybiegł pośpiesznie tata Mavrocordatus. Kiedy zatrzymał się przede mną, jego całe tłuste ciało opadło. Na twarzy widać było kompletne załamanie. Wyglądał, jak na wpół martwy.

— Irene — wychrypiał. — Ona… zniknęła…

Pobiegłem za nim do jej kwatery. Było w niej widać trochę nieładu. Zdjęcie matki dziewczyny leżało przewrócone na małym, metalowym stoliku. Koc był cały skłębiony, a na podłodze leżało porozrzucanych nieco ubrań. To było wszystko.

Geedeh także przybiegł do jej kwatery.

— Porwana — wysyczał.

Co Haynes zamierzał osiągnąć, każąc swoim agentom uprowadzić Irene, nie byłem sobie w stanie wyobrazić. Nienawiść, którą poczułem, zaćmiewała mi wszystko, poza myślą o sprowadzeniu jej z powrotem w bezpieczne miejsce. Ta potrzeba była jak czubek noża, ostra i jasna, w chaosie wirujących myśli. W tej chwili zdałem sobie sprawę, ile dla mnie znaczyła.

— Potrzebuję rakiety — cicho oznajmiłem. — Najszybszej, jaką mamy. Chcę też skontaktować się przez radio z Patrolem Kosmicznym.

— Nie został nam ani jeden statek — odparł Geedeh. — Ludzie zabrali wszystkie, poza małym lataczem, który zostawili dla nas. Ale ktoś go rozbił. Nasz wielki nadajnik radiowy także został rozbity.

W chwilę później, rozgrzebywałem palcami rumowisko lamp i przewodów, jakie zostało w kabinie radiowej. Naprawa aparatu absolutnie przekraczała nasze możliwości. W tej chwili byliśmy bezradni, porzuceni

na naszej asteroidzie. Przez moment czułem wrzaski szaleństwa skrzeczące w moim umyśle. Ale przeszywające spojrzenie Geedeha ostrzegło mnie, że to nie jest żadna droga wyjścia. Stłumiłem w zarodku i wyrzuciłem z głowy ten maniacki rozbłysk.

— Geedeh, lepiej przygotujmy do użytku całą broń, jaką mamy — powiedziałem. — Haynes zabrnął już za daleko, żeby się teraz wycofać. Jeśli będziemy mówić, ściągniemy mu na głowę Patrol, a to oznacza, że musi nas tu jak najszybciej zaatakować.

Tak więc przygotowaliśmy się do odparcia ataku, najlepiej jak tylko mogliśmy. Geedeh, tata Mavrocordatus i ja. Wyposażyliśmy się w nasze najlepsze uzbrojenie – karabiny atomowe. Tata Mavrocordatus otrząsnął się w większej części ze swej dezorientacji. Ponuro chwycił za swój karabin i zajęliśmy pozycje za masami odłamów skalnych na krawędzi lądowiska.

III

Czekaliśmy w milczeniu. Asteroida obracała się wokół własnej osi. Nadeszła krótka noc. Wtedy zobaczyliśmy zbliżające się dwie rakiety – bluzgające w nagłych skrętach strumieniami niebiesko-białego ognia silników manewrowych. Kiedy oba statki zwolniły przed lądowaniem, cała nasza trójka wystrzeliła salwę.

Nasze pociski atomowe wybuchały przy uderzeniu, rozbłyskując w ciemności. Skutki były niesamowite.

— Dostałem jednego! — usłyszałem po chwili wrzask taty Mavrocordatusa, jego głos ledwie się przebijał przez dzwonienie w mych uszach. Oślepione oczy z trudem dostrzegły, że jeden ze statków leży na boku na lądowisku. Nasze małe pociski co prawda nie przebiły jego pancerza meteorowego, ale rakiety lądujące zostały kompletnie zniszczone. Drugi ze statków jednak perfekcyjnie osiadł na ziemi.

Byliśmy już gotowi, aby ponownie wystrzelić, kiedy poczułem że omiata nas fala promieni paraliżujących. Zobaczyłem jak Geedeh, z na wpół uniesionym ciałem, rzuca się do tyłu sztywniejąc w gwałtownym spazmie, a jego karabin wylatuje dalekim łukiem.

Potem zostałem wyłączony, aż do chwili, kiedy usłyszałem mówiącego do nas Normana Haynesa. Byliśmy mocno związani, dokoła znowu widać było dzienne światło, a nasz pogromca i jego dwudziestu pachołków uśmiechali się w naszą stronę pogardliwie.

— Próbuję właśnie wymyślić, jak to zrobić, aby wasza śmierć wyglądała na przypadkową, tak bardzo jak tylko możliwe — oznajmił Haynes, spoglądając na mnie. — Para moich ludzi, zdaje się, że sfuszerowała ten mały numer z bakteriami. Mogli coś wygadać, zanim ich zabiliście, chłopcy. Teraz, oczywiście, nie mogę podejmować żadnego ryzyka. Szkoda, że ta wasza odnowiona asteroida, na razie musi okazać się porażką. Ale nie mogę pozwolić na to, aby moje posunięcia zaczęły

wyglądać na zbyt oczywiste. Trzeba będzie odrobinę odczekać. Może uda mi się uruchomić coś później, kiedy ludzie trochę zapomną.

— Co zrobiłeś z Irene? — wybuchłem ponuro.

Haynes wyglądał na zaskoczonego.

— Dlaczego mnie o to pytasz? — spytał. — Pewnie uciekła, z którymś z twoich dokerów. A może to oni zdecydowali, że dobrze byłoby mieć jakieś miłe towarzystwo i zabrali ją ze sobą.

Zaśmiał się cynicznie. Może nawet mówił prawdę, o tym że nie wie gdzie jest Irene. Ale jeśli tak było, to wcale z tego powodu nie poczułem się lepiej. Jeżeli ktoś z jego bandy, kto razem z nami pracował, ją porwał, to trudno było powiedzieć, jak ona się czuła.

Obawy te musiały ujawnić się na mej twarzy, a Norman Hayes zdawał się nimi cieszyć, chociaż widać było po nim nerwowość, nawet niebezpieczną. Światło dzienne robiło się coraz jaśniejsze. Ciągle spoglądał w niebo, splatając swe wydelikacone dłonie. Nie lubił fizycznego zagrożenia.

— Wasz generator grawitacji wydaje się być odpowiedzią na moje modlitwy, Wallace — poinformował mnie. — Przy pełnej mocy będzie w stanie wytworzyć ciążenie równe co najmniej pięćdziesięciu ziemskim, zanim ulegnie awarii i stopi się na żużel. Sprawdziliśmy to. Ciążenie o tej sile zniszczy was wszystkich. Będzie to wyglądało na wypadek – awaria maszyn.

Pomimo tego, że tata Mavrocordatus przez cały czas go przeklinał, a Geedeh obrzucał go takimi wyzwiskami, że żaden Ziemianin nie byłby w stanie przetłumaczyć ich na mniej kwiecisty język angielski, nasz pogromca nie zwracał na nich uwagi. Cały czas kierował swe groźby do mnie. W ten sposób wiedziałem, że nadal pamięta o chwilach w jego biurze na Enterprize, kiedy odmalowałem go we właściwych barwach. Ciągle czuł do mnie urazę i miał zamiar odpłacić mi tymi pięćdziesięcioma g. Oznaczało to, że każdy funt w normalnym ciążeniu ziemskim, zostałby powiększony do pięćdziesięciu funtów! W uścisku takiej grawitacji, człowiek o mojej wielkości ważyłby dobre cztery tony!

Znaczyło to, że serce zatrzyma się pod ciężarem krwi, którą będzie próbowało przepompować, zaś tkanki ciała zostaną zmiażdżone pod swoim własnym ciężarem. To tak, jakby znaleźć się na powierzchni jakiejś martwej gwiazdy średnich rozmiarów, gdzie panuje straszliwa grawitacja!

Na rozkaz Haynesa, sześciu z jego dwudziestu ludzi, zabrało Geedeha, tatę i mnie. Ta cała banda, wyglądała naprawdę paskudnie, najgorsze szumowiny z portów kosmicznych. Część z nich otrzymała polecenie, aby pozostać na powierzchni planetoidy, podczas gdy reszta zaniosła nas do szybu windy. Zjechaliśmy klatką, z oszałamiającą prędkością, do krypty pośrodku 487, gdzie pod kryształową pokrywą mieściła się maszyneria generatora grawitacji. Na tej głębokości, pod naporem słupa powietrza ponad nami, ciśnienie atmosferyczne było

bardzo wysokie. W tak zagęszczonym ośrodku nie dawało się swobodnie oddychać.

— Odwagi! — wysapał Geedeh do taty Mavrocordatusa i do mnie, podczas gdy jego wielkie oczy nieustannie biegały we wszystkie strony, szukając szansy, której nie było.

Haynes zaczął sprawdzać maszyny. Znowu pogardliwie się uśmiechnął.

— Prosta sprawa! — oznajmił swoim kompanom. — Ustawcie zrobotyzowane sterowanie na stopniowe zwiększanie energii, tak byśmy mieli czas na wydostanie się stąd. Porozbijajcie ręczne przyrządy sterownicze, aby nie można było zmienić ustawień. Zinder, teraz możesz porozcinać więzy naszym przyjaciołom, tak by nie zostały żadne sznury, wskazujące że to była celowa robota. Tylko trzymajcie ich cały czas pod lufami blasterów – wszyscy!

To był już koniec, zgadza się. Byłem tego pewny. Miałem umrzeć, nie wiedząc nawet, co stało się z Irene. Irene, którą znałem, i którą kochałem…

Właśnie rozcięli nam więzy, kiedy zadzwonił telefon łączący nas z powierzchnią. Dzwoniła grupa strażnicza, którą Haynes zostawił na górze. Nasz zwycięzca pstryknął przełącznikiem głośnika. W tej pieczarze pełnej metalowych gigantów, zielonego światła i błyszczącego kryształu, zahuczał głos jednego z ludzi Hynesa.

— Szefie, niech pan posłucha! Po prawo od Słońca pojawiła się grupa plamek. Szybko robią się coraz większe! To musi być flotylla statków kosmicznych. One nie mogą być nasze. Co mamy robić?

Ujrzałem jak słaba twarz Hynesa robi się blada jak śmierć. Mój duch szybko rósł. Nie miałem pojęcia, do kogo mogły należeć te statki. Ale to musieli być jacyś ludzie przybywający nam z pomocą. Przylecieli tu, żeby powstrzymać szaleństwo Normana Haynesa.

Ale Haynes był sprytny, jak to się szybko okazało.

— Przypuszczam, że to jacyś przyjaciele naszego Wallace'a. Może nawet łodzie Patrolu Kosmicznego — powiedział przez telefon do grupy strażniczej. — Musimy wszyscy zaryzykować odrobinę niewygody. Również przeciwko nim użyjemy grawitacji! Nie uda im się bezpiecznie wylądować!

Tata Mavrocordatus popatrzył na mnie i na Geedeha.

— O co mu chodziło z tym użyciem grawitacji?

Geedeh był odrobinę szybszy ode mnie, udzielając mu oczywistej odpowiedzi.

— Dokładnie o to samo, co w naszym przypadku — wyjaśnił. — Zwiększenie mocy generatora grawitacji do określonego stopnia. Z kosmosu, takie zwiększenie, będzie praktycznie niezauważalne. Rakiety będą próbowały wylądować – ale nie biorąc pod uwagę zwielokrotnionej siły przyciągania, rozbiją się!

— Wiele ptaszków jednym kamieniem! — radośnie zachichotał Haynes. — Przyjaciele, będziecie mieli krótką chwilę oddechu, a ja zajmę się tymi intruzami, ktokolwiek by to nie był. Przede wszystkim, nie mogę użyć w stosunku do nich za dużej siły ciążenia. To mogłoby ich ostrzec, spostrzegliby, że ich statki przyśpieszają zbyt raptownie. Oni również mogą się stać ofiarami mojego „wypadku", nawet gdyby okazało się, że to

policja. Patrol Kosmiczny od czasu do czasu również miewa wypadki, tak jak wszyscy inni!

Haynes zaczął przestawiać dźwignie sterowania ręcznego generatora. Miejsce, w którym stał on, oraz jego kilku pomocników, miało osłonę przed zwiększonym ciążeniem. Przygotowaliśmy to wcześniej dla celów testowych. Piskliwe buczenie maszyn, robiło się coraz głośniejsze.

Poczułem jak waga mojego nieosłoniętego ciała powiększa się, przyciskając mnie do podłogi. Gorąco również rosło, w miarę jak wielkie uzwojenia, błyszczące w świetle lamp, stopniowo przyjmowały coraz więcej energii. Wiedziałem również, że w kosmosie wyciągają się i krzepną, te delikatne wydawałoby się palce sił, niewidoczne, zdradzieckie. Nasi nieznani przyjaciele skazani byli na zagładę.

Nie tylko oni byli skazani, ale cała nasza idea miała zakończyć się porażką. Marzenie, za które umarł Nick. Ten cały ogromny postęp, jaki się z nim wiązał. Nadające się do życia światy w kosmosie – światy o w znacznym stopniu samowystarczalnej produkcji – prawdziwa kolonizacja. Uczciwe reguły gry. Norman Haynes chciał stawić temu wszystkiemu opór, ponieważ taki postęp oznaczałby osłabienie władzy jaką miał tutaj. Był panem asteroid, ponieważ był panem ich importu i eksportu. I dopóki nie będzie mógł kontrolować odnowionych asteroid, nie mogły one istnieć. Pod jego kierownictwem, nie stanowiłyby one żadnej prawdziwej poprawy – tylko kolejny środek do rabowania kolonistów. A koloniści nie byli przecież bogaczami.

Widziałem jak te same myśli, które szaleńczo przemykały przez moją własną głowę, pałają w kocich oczach Geedeha, leżącego na ziemi koło mnie. Jako że był Marsjaninem, zrodzonym do niższej grawitacji niż ziemska, cierpiał jeszcze bardziej niż ja – przynajmniej fizycznie. Ale moje katusze umysłowe, chyba były nawet gorsze. Geedeh był przyjacielem Irene, ale ja ją kochałem. Zniknęła – przepadła gdzieś – być może była martwa. To dla mnie, było najgorsze – dużo gorsze niż przytłaczający ciężar.

Nie mogłem pozwolić, aby sprawy potoczyły się tak, jak wyglądały obecnie! Kipiąca we mnie furia i pragnienie działania, chłostały mnie jak biczem, pomimo mojej bezradności. Boże… co ja mogłem zrobić? Próbowałem coś wymyślić. Czy mógłbym w jakiś sposób uszkodzić maszyny generatora grawitacji? Niemożliwe w tej chwili, z pewnością!

Próbowałem przypomnieć sobie moją wiedzę z fizyki z liceum. Zasady, które mógłbym wykorzystać do wysłania sygnałów ostrzegawczych, i tak dalej. A także to, co tak straszliwa grawitacja, może zrobić z rzeczami.

Blisko mnie, znajdowała się podstawa kopulastej kryształowej osłony, przykrywającej generator grawitacji. Z pewnością to nie była jakaś witalna część, po prostu kawał mocnego kwarcu. Ale to była jedyna rzecz, której mogłem dosięgnąć. Leżąc na podłodze odciągnąłem stopę, uginając kolano. Kopnąłem nogą w dół, z całej siły uderzając o kwarc. Pierwsze uderzenie spękało osłonę. Drugie spowodowało, że podkuta metalem pięta mojego buta przebiła ją z trzaskiem na wylot. W osłonie pojawiła się niewielka dziura, o długości jakichś osiemnastu cali. Odgłosy pracy maszyn, były takie same jak przedtem. Ciążenie nadal z wolna narastało.

Geedeh, cierpiąc teraz jeszcze bardziej, przyglądał mi się z zaintrygowaniem. Tata Mavrocordatus, patrzył z niepokojem. Zaś Norman Haynes koło telefonu na powierzchnię, zaśmiał się nieprzyjemnie.

— Pękamy, co Wallace? — zadrwił. — Wiem już kim są ci wasi niedoszli pomocnicy, na pokładach statków kosmicznych. Podejrzewam, że będziesz zaskoczony, dowiadując się o kogo chodzi. Wywołują cię. Chciałbyś posłuchać? Moi ludzie na górze podłączyli ten telefon do radia na naszym statku.

Podkręcił głośność odtwarzania.

Jako pierwszy z głośnika odezwał się głos Irene.

— Chet! — zawołała ponaglająco. — Chet Wallace! Tato! Geedeh! Czy mnie słyszycie? Opuściłam 487 z mojej własnej woli. Nie mogłam tracić czasu, wyruszyłam wezwać na pomoc Patrol Kosmiczny – wiedziałam, że będą chcieli dowodów, i przedstawienie ich zajmie parę chwil. A więc… była tylko jedna osoba, a ja uważałam, że wy nie będziecie jej ufać. … Dlaczego nie odpowiadacie? A może wy również opuściliście 487? Przekazuję teraz mikrofon komu innemu. Znalazłam go na Enterprize, właśnie przyleciał z Ziemi. Pan Arthur Haynes…

IV

Aż sapnąłem, słuchając Irene. Nie wiem, co zaskoczyło i zmieszało mnie bardziej – to, że żyła i była bezpieczna, czy to co powiedziała o starym Arcie Haynesie. Czy mogliśmy zaufać staremu Artowi? Nie było sposobu, aby odpowiedzieć na to pytanie. Czy Irene powiedziała mu o jego bratanku, czy milczała na ten temat? Czy wiedział, że staje przeciwko Normanowi Haynesowi, czy też myślał, że człowiekiem sabotującym nasz projekt, jest ktoś inny. Komu dochowa lojalności, kiedy się tego dowie? To była delikatna sytuacja.

Zaraz po tym, kiedy nierówny, podekscytowany oddech Irene zamarł w głośniku, Norman Haynes uznał za właściwe wyjaśnić nam swoje stanowisko i rozwiać moje wątpliwości. Popatrzył na Geedeha, tatę i mnie, wyprężonych i bez żadnych wątpliwości cierpiących i udręczonych pod działaniem zwiększonej grawitacji.

— Wuj Art, to stary głupiec — oświadczył. — Myśli, że może tak sobie wrócić na asteroidy i wygryźć mnie z biznesu, co? No cóż, powinien już umrzeć dawno temu, a teraz jest na to równie dobra chwila, jak każda inna! On również może paść ofiarą tego wypadku, razem z tą waszą zgrają kosmicznych włóczęgów. Nikt się nawet o tym nie dowie!

Tragiczne było, że start Art, nie mógł usłyszeć tych słów. Ale jego bratanek tego nie transmitował. Tylko nasłuchiwał po cichu. I wkrótce z głośnika dobiegł głos jego wuja.

— Wallace, podchodzimy do lądowania. Nie będzie już więcej żadnych kłopotów. Osobiście tego dopilnuję! Dowiemy się, kto stoi za tym sabotażem. Położymy temu koniec!

Była to dla mnie gorzka, smutna ironia – stary Art okazał się być naszym przyjacielem. Nie znał swojego wroga. Miał już niemal dziewięćdziesiątkę – stary, surowy wojownik, z prawdziwą wizją w sercu. Do tego jeszcze Irene, która była dla mnie wszystkim. Nie wiedziała, że przy zwiększonej sile ciążenia, te nadlatujące statki rozbiją się i wylecą w powietrze!

Moje myśli zaczęły się trochę rozmywać pod dławiącym naciskiem sztucznej grawitacji. Pot spływał ze mnie strumieniami w dusznym gorącu, która powiększało jeszcze uciążliwość wywołaną ciężkim powietrzem. Tata Mavrocordatus wyjęczał imię swojej córki. Wielkie oczy Geedeha utkwione były we mnie, z bezradnym cierpieniem.

Przez piszczące odgłosy pracy maszyn usiłowałem dosłyszeć kolejne wiadomości od Irene i starego Arta. Żadne jednak nie nadchodziły. Do tej pory musieli już zdać sobie sprawę z czekającej ich zagłady. Pewnie szaleńczo i beznadziejnie walczyli, żeby się wyrwać. Mimo, że ciągle znajdowali się w pewnej odległości od 487, zostali już mocno złapani w pajęczynę niewidocznych sił.

Po kilku chwilach, usłyszałem odległy huk, przetaczający się dźwięk. Co to było? Ogromna rakieta uderzająca z szybkością meteoru w postrzępione skały nad naszymi głowami? Miażdżąca, niszcząca siebie samą i tych którzy się w niej znajdowali? Myślałem, że serce mi się rozerwie na skutek dodatkowego ciężaru mojego niepokoju.

Ten pierwszy huk, to był dopiero początek. Kolejne następowały, szybko jeden po drugim – nieubłaganie. Potem usłyszeliśmy słaby, odległy łoskot, dolatujący do nas z odległości dziesięciu mil w górze.

Ten łoskot, było to dudnienie tytanicznej ulewy. Potoków wody zmierzającej w dół szybu, do miejsca w którym znajdowała się maszyna grawitacyjna! Wszystkie te niezliczone tony wody, którą otrzymaliśmy wypalając starożytne skały, i która w większości zawieszona była jako para w naszej sztucznej atmosferze, obecnie kondensowały się i spływały na dół ogromnymi strumieniami!

Norman Haynes nie przestawał się satanicznie uśmiechać, podczas gdy jego pomagierzy pilnowali pracy maszyny grawitacyjnej. W jego oczach błyszczał tryumf. Wkrótce jednak zaczął wyglądać jakby coś go zastanowiło, w miarę jak szumiące dudnienie towarzyszące hukom uderzeń, poczęło narastać. Prawdę mówiąc, było również odrobinę za wcześnie na uderzenia rozbijających się statków kosmicznych.

Czułem jak wbrew woli, na wargach pojawia mi się ponury uśmiech. Czyżby moje domysły i nadzieje, które wydawały się takie nierzeczywiste, miały okazać się poprawne? Norman Haynes spoglądał z powątpiewaniem na głośnik. Widziałem, jak dziwi się, że jego strażnicy na górze przestali się z nim komunikować – i mówić mu, co się dzieje na powierzchni 487.

Teraz już znałem odpowiedzi na te pytania! Geedeh także. Ekscytacja wywołana tą wiedzą była widoczna na jego pomarszczonej, wykrzywionej bólem twarzy. Te dalekie huki, nie były tym czego się obawiałem, ale

częścią tego na co miałem nadzieję. Były to gigantyczne grzmoty – huk wyładowań straszliwych piorunów! Norman Haynes w swoim planie zniszczenia nadlatujących pojazdów kosmicznych, przeoczył jedną prostą rzecz. Na górze rozpętała się przerażająca burza elektryczna – wręcz o niewyobrażalnej skali – zupełnie przekraczającej ziemskie doświadczenia! Bez wątpienia wszyscy strażnicy Normana Hayesa na górze, zostali zabici w nagłym potopie elektryczności! Zwielokrotniona grawitacja na powierzchni, przyszpiliła ich do podłoża, tak że nie mogli ani uciec, ani ostrzec swojego szefa!

Zanim Norman Haynes zrozumiał co się dzieje, spieniona mulista woda znalazła się u drzwi pomieszczenia maszynowni generatora, z chlupotem i bulgotaniem przelewając się przez próg! Wraz ze swymi pomagierami stał i wpatrywał się w nią baranim wzrokiem, kiedy zacząłem się z nich śmiać.

— Haynes, ty nadal nie rozumiesz co się dzieje, co nie? — wykrztusiłem. — Nie zdawałeś sobie sprawy z tego, że zwielokrotnione ciążenie, zwiększy wagę atmosfery, oraz wszystkiego innego! A większy ciężar powietrza, oznacza również zwiększone ciśnienie atmosferyczne, spychające molekuły bliżej siebie, wywołujące większą gęstość. I co się stanie? Rusz pokłady swojej szkolnej wiedzy z fizyki, Haynes! To tak jakbyś miał powietrze w zbiorniku wyposażonym w pompę sprężającą. Zawarta w nim para wodna zaczyna przechodzić w stan płynny. A w przypadku tak dużej atmosfery, jaką ma obecnie 487, dodatkowo jeszcze gwałtownie i nagle skondensuje się cały jej ładunek elektrostatyczny.

Norman Haynes gapił się na mnie tępo, w oszołomieniu i konsternacji. Ale dosyć szybko wrócił do siebie. Jego nagłe parsknięcie przesiąknięte było szczurzą desperacją.

— Do diabła — stwierdził. — To po prostu burza z piorunami. Mnóstwo deszczu. I co z tego? Generator grawitacyjny ciągle działa. Statki kosmiczne mimo wszystko zostaną zniszczone.

Wiedziałem, że mówi prawdę – chyba że wydarzą się również inne rzeczy, które planowałem. Te rakiety, obsadzone przez naszą dawną ekipę budowlaną, Irene i starego Arta Haynesa, były zbyt blisko asteroidy 487, aby mogły uciec, nawet jeśli nagłe pojawienie się ciemnych chmur ostrzegło ich, że dzieje się coś niebezpiecznego.

— Tylko patrz, Haynes — wysapał Geedeh, i w pierwszej chwili pełniącemu obowiązki dyrektora Haynes Shipping Company trudno było się domyślić, o co małemu Marsjaninowi chodzi.

Pod działaniem straszliwej grawitacji, woda sunęła do naszego pomieszczenia, jak lawina. Geedeh, tata i ja, miotaliśmy się w niej z całej siły, przyciskani do podłogi ogromną wagą. Byłem pewien, że utoniemy. Ale kiedy my walczyliśmy o oddech, kaszląc i wypluwając wodę, znalazła ona sobie drogę przez dziurę, którą wykopałem tuż przy podstawie boku kryształowej kopuły, pokrywającej gigantyczną maszynę. Kiedy woda weszła w kontakt z działającą aparaturą, buchnął rozbłysk elektrycznego ognia.

Potem rozpętało się pandemonium. Każdy zaczął walczyć o ratunek. Geedeh, jako naukowiec, oraz ja, który pod presją palącej potrzeby jakoś zdołałem domyślić się tego finału, wykorzystaliśmy naszą wiedzę. Zaplanowaliśmy sobie nieco z góry, co trzeba zrobić.

Ciążenie w mgnieniu oka zniknęło – spadając do bardzo niskiego, praktycznie zerowego poziomu, tutaj, niemalże w centrum malutkiej planetki, której normalne przyciąganie nawet na powierzchni było bardzo małe. Usiłowaliśmy podnieść się na nogi, w wirze błotnistej wody, obecnie już jardowej głębokości. Zanim jednak zdołaliśmy skorzystać z tego nagłego prezentu niskiej wagi, maszyny podjęły ostatni zryw i znowu padliśmy jak dłudzy, topiąc się pod powierzchnią. Potem, ze zgrzytliwym szczękiem, aparatura ostatecznie stanęła. Chaos zakończył się, poza niskim przeciągłym jękiem rozprężającego się powietrza i wrzaskami Haynesa oraz jego ludzi.

Wkrótce poczułem diabelskie kłucie w całym ciele. W uszach mi dzwoniło, jakby na skutek jakiejś potężnej eksplozji. Bolało mnie dosłownie wszystko. Chwyciłem Geedeha, który wyglądał jakby zaczynał mdleć. Tata Mavrocordatus, z kolei, jakoś zdołał pomóc mnie...

Jednak, chociaż wymęczony przez grawitację znacznie większą, niż swego rodzinnego Marsa, a teraz stawiający czoła okolicznościom bardziej jeszcze nawet niebezpiecznym, na szczęście dla nas wszystkich, twardy, mały Geedeh, pokazał że ciągle ma ikrę. Wskazał ręką na szczelną, kryształową klatkę na końcu komory. Klatka była używana przy rutynowych testach znajdującej się tu aparatury, które wywoływały fluktuacje mocy działania generatorów grawitacji, a w konsekwencji znaczne zmiany ciśnienia powietrza.

— Do klatki… dalej, wszyscy! — zapiszczał Geedeh. — Szybko! Choroba kesonowa!…

Czy wiecie, jakie jest ciśnienie na dnie dziesięciomilowego szybu, nawet przy normalnej ziemskiej grawitacji? Taaa, dosyć duże. A teraz wyobraźcie sobie, jakie panowało tutaj parę chwil temu, przy sześciu, czy siedmiu g! Ale kiedy generatory padły na amen, nastąpiła raptowna utrata wagi powietrza, nagłe jego rozprężenie, rozrzedzenie, spadek ciśnienia!

Cała nasza trójka znalazła się w klatce i zamknęła szczelnie drzwi. Przekręciłem zawory. Rozległ się syk wpadającego powietrza i ciśnienie ponownie wzrosło do wartości dalece przekraczającej normę z poziomu morza na Ziemi. Natychmiast poczułem się lepiej, ale zdawałem sobie sprawę, że było naprawdę blisko.

Wyjrzeliśmy na zewnątrz, na Normana Haynesa i jego ludzi. Teraz już nie tonęli. Chwiejąc się na nogach, stali trzymając głowy wysoko ponad wodą. Ale zabijało ich coś innego. Nie było tu również mowy o uduszeniu. Twarze im napuchły i zrobiły się przekrwione. Całe ich ciała zdawały się nadymać.

Norman Haynes, podobnie jak kilku innych, usiłowali unieść pistolety energetyczne, próbując wystrzelić w kryształowe schronienie, w którym znaleźliśmy ratunek. Haynes musiał wtedy już zdawać sobie sprawę z porażki. Dlaczego tak się stało. W jaki sposób wygraliśmy. Być może

nawet uświadamiał sobie pewną sprawiedliwość, swej strasznej kary. Próbował zahamować postęp i zniszczyć uczciwe reguły gry.

Blaster wypadł mu z palców. Otworzył usta, by krzyknąć w agonii. Ale buchnęła z nich czarna krew i razem ze swymi ludźmi przewrócił się, znikając pod wodą.

— Choroba kesonowa! — powiedział ponownie Geedeh. — Haynes dostał najgorszej choroby kesonowej w historii, jakiej nigdy nie doświadczył żaden z nurków głębinowych w morzach Ziemi.

Na zewnątrz klatki, zalew wody do tej pory niemalże już ustał. Czekaliśmy. Zemsta się dopełniła. I była ona tak satysfakcjonująca, jak wcześniej tylko mógłbym marzyć.

Wkrótce do nas dotarli. Irene. I stary Art – udowadniający, że nazwisko Haynes nadal było wielkie, nawet jeśli jeden z tych, którzy je nosili, trochę je zszargał. Wyszliśmy z klatki, kiedy otaczające nas ciśnienie stopniowo zostało obniżone do normalnego.

— Nie myślałem, że to była wina Normana — smutno westchnął stary Art, kiedy odezwał się do nas. — Wiedziałem, że jest wyniosły, pyszny i apodyktyczny, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, że jest aż takim złym człowiekiem. Myślę, że dostał to, na co zasłużył — dokończył, a w jego ciężkim głosie słychać było ból i smutek.

Wyjechaliśmy windą na powierzchnię. Na górze trzeba było znowu nosić skafandry kosmiczne, teraz gdy powietrze tak silnie się rozprężyło. Znaczna część atmosfery wyciekła z asteroidy 487, utrzymywana tylko przez jej słabiutką naturalną grawitację. Ale nie było to nic, czego by się nie dało naprawić i zastąpić.

— Musimy zaopatrzyć się w pompy i wyciągnąć wodę z komory, tak aby można ją było osuszyć, naprawić maszyny generatora grawitacji i ponownie je uruchomić — stwierdził Geedeh.

Rozpoczęliśmy więc jeszcze raz, niemalże w sytuacji, w jakiej byliśmy na początku, ponieważ bardzo duża część powietrza i wody uciekła w kosmos. Przez wiele dni żyliśmy w skafandrach kosmicznych, odbudowując i naprawiając zniszczone maszyny. Następnie, z pomocą Arta Haynesa, oraz dzięki zwiększonemu zaufaniu teraz, gdy nasze plany stały się powszechnie znane i zaaprobowane, sprowadziliśmy pompy do usunięcia wody z komory.

Wynajęliśmy specjalistyczne firmy, posiadające ekipy ludzi wyszkolonych do prac, do których naszym dawnym pracownikom brakowało umiejętności technicznych. Z wolna, nasza planeta nadziei ponownie zaczęła się rozwijać i po całym pasie asteroid rozesłaliśmy wieści, że na Asteroidzie Paradise na powrót potrzebni są robotnicy.

Specjaliści odlecieli, zastąpieni przez ludzi, którzy pracowali na naszej asteroidzie już wcześniej. Przy nieograniczonych funduszach wielkie statki transportowe w regularnych odstępach czasu zwoziły stosy materiałów, zaś powracający pracownicy jeden za drugim siadali swymi statkami na

lądowiskach. Ludzie napływali z ochotą, gotowi do budowy jądra drugiej Ziemi w kosmosie.

Po powrocie naszych dawnych pracowników, usunięcie zniszczeń zajęło jakieś sto godzin. Asteroida 487 znalazła się obecnie niemalże w takim samym stanie, co przed ostatnimi kłopotami z Normanem Haynesem, nie licząc tego, że powietrze było odrobinę rzadsze. Ale ten problem można było szybko usunąć. Tata Mavrocordatus znowu pracował nad swoimi winnicami i drzewami, poletkami pomidorów i kapusty. Poważne kłopoty absolutnie się skończyły. Marzenie zaczęło zmieniać się w rzeczywistość. Mała Ziemia, świeża i zielona, dla zmęczonych górników z Pasa Małych Planet. Teraz, szaleństwo kosmiczne nie będzie już takie powszechne. A tanie, świeże produkty będą do ich dyspozycji.

V

Irene i ja spacerowaliśmy w mrokach ciepłej nocy. Ludzie hałasowali w jasno oświetlonych barakach. Ktoś grał na organkach. Gwiazdy jaskrawo świeciły i przez głowę przychodziły tysiące myśli. O tym jak wszyscy mozoliliśmy się tu ramię w ramię. O tym jak Nick Mavrocordatus marzył, pracował i umarł. O tym jak kiedyś asteroidy stanowiły jedną planetę, zamieszkiwaną przez niemal ludzkie istoty, także marzące, planujące, mozolące się. Ich skalne rzeźby znajdowały się niemal wszędzie.

— To początek, Chet — wyszeptała Irene. — Asteroida 487 jest pierwsza. Ale wkrótce pojawią się kolejne – kolejne małe, piękne, żyjące planetki. Pozostało jeszcze mnóstwo pracy do zrobienia. A kiedy zostanie ona ukończona, będzie to niemal niefortunne – zrobi się tu zbyt spokojnie.

Wiedziałem o co jej chodzi. Była z zamiłowania pionierką, podobnie jak większość z nas. Sens życia polegał na walce. Na osiąganiu kolejnych wyżyn. To właśnie, przede wszystkim, pociągnęło nas w międzyplanetarną przestrzeń kosmiczną.

Pocałowałem ją.

— Nie przejmuj się, kochanie — powiedziałem. — Temu nie będzie końca. Nie ma żadnego punktu ostatecznej stagnacji. To będzie trwało i trwało. Pogranicze zawsze będzie istniało – a za nim coś większego do osiągnięcia i zdobycia…

I podnieśliśmy wzrok, z respektem spoglądając na nieskończone głębie gwiazd.

KONIEC